

AGNIESZKA SUDOMIR

CZWARTEKOWE DZIECI

LITERATE

*Monday's child is fair of face,
Tuesday's child is full of grace,
Wednesday's child is full of woe,
Thursday's child has far to go,
Friday's child is loving and giving,
Saturday's child works hard for a living
And the child that is born on the Sabbath day
Is bonny and blithe, and good and gay.*

Dubler

*You know that I've seen
Too many romantic dreams
Up in lights
Falling off the silver screen*

Mötley Crüe, *Home, Sweet Home*

Zeskoczył z ostatniego stopnia autobusu prosto w kurz spalonej słońcem ziemi. Drobiniki piasku zatańczyły z wiatrem i opadły na ogoloną czaszkę. Zarzucił na ramię płócienny worek – ten sam, z którym stąd wyjechał. Podciągnął dżinsy, strzepnął pył z kurtki. Przez całą drogę nikt go nie rozpoznał. Za kilka miesięcy, kiedy świat pokocha Domenica Vicaro, znanego jako Rat Vic, już nie będzie tak słodko. Teraz nikt jeszcze nie widział go w najnowszej roli. Łysa głowa i czarna broda dodawały mu lat, ale pozwalały się ukryć. Choć na chwilę.

– Choć na chwilę... – mruknął pod nosem.

Inaczej to zapamiętał – jakimś cudem jego kraj dzieciństwa był soczysto zielony. Obrzucił spojrzeniem nędzną okolicę. Niewielki plac, zdezelowana wiata przystanku, wypłowiałe elewacje niskich budynków. Wszystko to wypalone słońcem do barwy sepii jak na starej pocztówce. Znów dopadł go smutek. Inny niż wtedy, na tym koszmarным przyjęciu, ale jednak. Nic już nie było takie jak dawniej.

Ponownie się rozejrzał i ruszył wzdłuż drogi, w kierunku majaczących na horyzoncie jasnych budynków. Motel Juice wybudowano tuż za miasteczkiem w pustym polu. Tak jak całe Red Sands – w środku niczego. Zniszczony neon z daleka krzyczał na różowo o wolnych pokojach. Niepotrzebnie. Kto by tu przyjeżdżał? Joaquin też nie był pewny, po co się tu znalazł. Nikt na niego nie czekał, nikt za nim nie tęsknił. Matka, ojciec, siostra... od lat dla nich nie istniał.

Przypomniawszy sobie ten dzień, kiedy stał na werandzie i wciąż miał nadzieję, że ojciec poklepie go po ramieniu, a matka wyściska na pożegnanie. „Aktor? To nie jest zawód dla mężczyzny. Przynosisz wstyd rodzinie” – usłyszał zamiast tego. Potem, w LA, nigdy nie wychodził z roli. Nie czuł wstydu. Ani dumy. Niczego nie czuł. Magiczny proszek zasypywał wszystko na białą. Aż w końcu Joaquin sam już nie wiedział, czy trafił do nieba, czy do piekła. Dryfował w rozświetlanej raz po raz błyskami fleszy pustce. Unosił się w jakimś pierdolonym niczym z twarzą obolałą od uśmiechów. Nie, tak naprawdę wcale go nie było. Jakby każda dłoń, której dotykał, zabierała ze sobą kawałek Joaquina Marii Romero. Aż w końcu został tylko Joe Pilgrim, jak nazywała go pustka. Jak sam się w pustce nazywał.

Musiał znów poczuć tę spaloną ziemię pod stopami. Musiał założyć starą kurtkę i trampki, żeby siebie sobie przypomnieć. Ojciec miał rację. Aktor to nie był zawód dla mężczyzny. A właściwie nie miał racji. To nie był zawód dla nikogo. Życie w LA przypominało skakanie na płonącej linii: ciągle salta i szpagaty ku ucieście gawiedzi; trudno je znieść na trzeźwo, po dragach jeszcze trudniej. Jeśli kiedyś, przed laty, chciał uciec od świata, jaki znał, teraz pragnął tego znacznie mocniej.

Wszystko będzie dobrze. Tylko musi znaleźć łóżko. Odpocząć. Zebrać siły. Powoli się do siebie przyzwyczaić. Wtedy przyjdzie czas na prawdziwy powrót.

– Będzie dobrze – powiedział do wolno obracającego się pod brudnym sufitem wentylatora i zasnął. Pierwszy raz od lat – jak dziecko.

*

Śniadanie było takie samo jak lata temu: jajko sadzone, bekon, tosty i góra polanych klonowym syropem naleśników. A do tego kubek lurowatej kawy. I o to chodziło. O to, by sobie udowodnić, że nie wszystko się zmieniło. Wytrzeźwiał usta serwetką z kiczowatym logo motelu i poczuł spokój. Choć czekała go jeszcze trudna konfrontacja, niczym się nie martwił.

– Dziękuję – rzucił do tęgawej kelnerki w landrynkoworóżowym fartuszk.

Odpowiedziała mu naturalnym, szczerym uśmiechem. Kiedy ostatnio taki widział? Wszystko go cieszyło: upał za oknem, podarta kanapa, sól rozsypana na stoliku, oblepiona keczupem butelka, nawet poplamiony kawą T-shirt. Zapłacił i wszedł do łazienki. W lustrze zobaczył okrągłą twarz Rata Vica. Przytył do tej roli piętnaście kilo, ale w kontrakcie miał zapewnioną kurację odchudzającą w ekskluzywnej klinice. Na premierze miał się już pojawić Joe Pilgrim – chudy jak zawsze, z lekko podkrążonymi bladoniebieskimi oczami, które odziedziczył po matce, z domu Kowalski, i z gęstą czarną czupryną po ojcu. Fanki kochały ten słowiańsko-latynoski miks. I szczupłe ciało Pilgrima. Na razie, póki każde zdjęcie z planu było trzymane w ścisłej tajemnicy, Rat Vic zapewniał mu anonimowość.

Sprał płamę z koszulki i wyszczerzył się zawadiacko do swojego odbicia. Głupi odruch – nawet tutaj, bez publiczności, musiał coś zagrać.

*

Stał tak już dobry kwadrans. Schowany za żywopłotem niczym złodziej, kradł chwile ich zwyczajnego życia. Zapach świeżo skoszonej trawy, szum wody ze zraszacza, odgłosy ulubionego teleturnieju matki, stukanie obracanych w zlewie naczyń. Dom. Chłonał go całym sobą. *Każdy kiedyś w końcu wraca* – pomyślał. *Każdy*. Wcale w to nie wierzył, ale bardzo chciał, żeby to była prawda.

I wtedy go zobaczył. Siwa głowa wychyliła się zza krzewów. Był straszny, szczuplejszy, bardziej zgarbiony. Nie wyglądał jak jego ojciec – surowy, emerytowany żołnierz. W luźnej, kolorowej koszuli przypominał raczej dobrotliwego dziadka.

– Lucy! – Usłyszał głos, znajomy, choć już nie tak ostry jak kiedyś. Na ganku pojawiła się ona. Matka. Taka, jaką zapamiętał, tylko jakby mniejsza. Za jej plecami dostrzegł jasnowłosą kobietę. Judy... Kiedy ostatni raz widział siostrę, była pulchnym dzieciakiem. Wyrostała na piękną pannę.

Judy założyła modne ciemne okulary – wyglądała w nich jak filmowa gwiazda – obciągnęła kusą bluzeczkę i podeszła do matki. Objęła ją z czułością, pocałowała w policzek, szepnęła coś do ucha. Nor-

malny świat, jakiego Joe prawie nie pamiętał.

– Tylko nie wracaj zbyt późno. Dziś na kolacji ma być Alice. To ważny wieczór dla...

– Wiem, wiem – przerwała jej niecierpliwie Judy. – Nie musisz mi przypominać.

Zarzuciła plecak, wskoczyła na rower i ruszyła w kierunku głównego placu. Joe odprowadził wzrokiem jej drobną sylwetkę; poczuł żal, że tak wiele przegapił. Czy kiedyś miała pryszcze? Czy nosiła na zębach aparat? Pewnie była przynajmniej raz zakochana. Kim jest? Jaka jest? O czym marzy? *To nic... to nic... wszystko da się naprawić* – pocieszył się. Ojciec zniknął w garażu, by za chwilę wrócić z plastikowym wiadrem i szczotką; wziął się do sprzątania tarasu. Dopiero teraz było widać, że prawa ręka mężczyzny zwisa bezwładnie, a połowa twarzy lekko opada.

Joe znów poczuł bolesne ukłucie w sercu. O tym też nie wiedział. Tak jak nie miał pojęcia, kim jest Alice, na którą wszyscy tak tu czekali. Wyłapał zaciekawione spojrzenie piegowatej dziewczyny z domu naprzeciwko. Wyciągnął telefon i przez moment udawał, że czegoś w nim szuka, po czym ruszył w dół ulicy. Twarz miał spokojną, jednak w gardle dławili go szloch. Wiedział, że to nie będzie łatwe, ale że aż tak? Wszystko wydawało się niesamowicie bliskie, znajome, a równocześnie cholernie obce. Przez chwilę miał ochotę pójść prosto na przystanek, wziąć nogi za pas i nigdy tu nie wracać. Wiedział, że to niczego nie zmieni. Nie da się ciągle uciekać. Gdzieś w końcu musi zasadzić to drzewo, o którym ciągle mówił ojciec. Poza tym był ciekawy, kim jest Alice. I dlaczego jest dla nich aż tak ważna?

*

Obudził się zlany potem. W pokoju panował nieznosny ukrop. Włączył wiatrak i stanął nagi pośrodku wyliniałego dywanu, rozkładając szeroko ramiona. Przymknął oczy – całym sobą chłonał delikatny ruch powietrza. Czuł, jakby się właśnie narodził. *Jezu, to lepsze niż koka* – pomyślał. Opuścił ręce, zebrał z podłogi porozrzucane ubrania. Dochodziła piąta po południu, miał chwilę na szybki prysznic.

Zimna woda przypomniła mu tamto lato. Równie gorące. Jak każde w Red Sands. Przychodzili do Motelu Juice popływać w basenie, nocą, kiedy wszyscy już spali. On, Jack i Liv – nierozłączna trójca. Kiedy Liv odwiedziła go w LA, był tak nawalony, że nawet jej nie poznał, a Jacka nie widział od lat.

Narzucił świeży T-shirt i był gotów do wyjścia. Na spotkanie tajemniczej Alice. Czuł się dziwnie, tak ich podglądając, trochę jak zбочeniec. Ale nie miał jeszcze dość siły i odwagi, żeby się z tym zderzyć. Ich też musiał najpierw sobie przypomnieć.

Wędrował wyasfaltowanymi ulicami – wszędzie kryły się urywki wspomnień. Tutaj Art Moore rozkwasił mu nos. O co poszło? Nie pamiętał. A tam palili z Jackiem fajki. Raz przyłapał ich stary. Ależ była draka! Joe minął zaułek między pizzerią a kwiaciarnią. Przypomniła sobie wielkie piersi Stacey Williams. Boże... jak on marzył, żeby ich dotknąć! Kiedy był już o krok od nieba, nadjechała policja, bo jakiś kretyń nie zamknął w knajpie okna i włączył się alarm. Następnego dnia Stacey go rzuciła. Nigdy nie pomacał jej boskich cyców.

Red Sands podupało, lecz pachniało wciąż tak samo. Skoszoną trawą, kurzem, papryką i grillowanym mięsem. Minął grupkę rozbawionych dzieciaków, ukłonił się grzecznie sprzedawcy ze spożywczaka, pogłaskał psa, uśmiechnął się do jego właścicielki. Znów nikt go nie rozpoznał. Znalazł się przy żywopłocie – dopiero wtedy do niego dotarło, że przecież nie może tak po prostu stać i gapić się na cudzy dom. Rozejrzał się bezradnie. Przymaszerował ulicą raz, potem drugi. Nagle po prawej stronie podwórka, z którego przyglądała mu się wcześniej ta piegowata, zauważył dwa duże kubły ze śmieciami. Ruszył w ich kierunku, stamtąd miał doskonały widok – bezpiecznie ukryty mógł swobodnie obserwować ganek domu rodziców.

Mijały minuty i nic się nie działo. Zdążył dobrze przyjrzeć się okolicy. Kilka domów odmalowano, postawiono ze dwa nowe płoty i tyle. Na chodniku pojawiła się tęga, starsza kobieta. Pani Martinez – rozpoznał sąsiadkę. Paręnaście lat temu dźwigała mniej kilogramów, ale poza tym w ogóle się nie zmieniła. Nawet postękiwała podobnie, wdrapując się na schody.

– Co za upał! – zrzędziła. – Oszaleć idzie...

Zawsze to mówiła, zawsze. Tak jakby co roku zaskakiwał ją nieprzyjazny klimat Red Sands. Jakby kiedykolwiek zdarzało się tu inne lato.

Na ganek wyszła matka, ubrana bardzo odświętnie: w kwiecistą sukienkę i buty na obcasie. Trzymała telefon. *Czyżby nawet odwiedziła fryzjera?* – zdziwił się. *Ta Alice musi być naprawdę kims!*

– Dobrze, że jesteś! – zakrzyknęła na widok Judy, która, spocona i portargana, właśnie wjechała na podjazd. – Już miałam po ciebie dzwonić.

– Mamo... – jęknęła jego siostra. – Mówiłam, że będę na czas.

– Jak ty wyglądasz? Zrób coś z tym. Przecież wiesz, że dziś przychodzi...

– ...Alice, Alice, Alice – dokończyła za matkę. – Trudno zapomnieć. Od tygodnia o niczym innym nie słyszę.

– Wiesz, jakie to dla nas ważne.

– Dla niego. Raczej dla niego – skwitowała kwaśno Judy.

– A więc także dla nas. – Ostra nuta w zazwyczaj łagodnym głosie świadczyła, że matka stanowczo nie życzy sobie podobnych komentarzy.

Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie ujrzy tę niezwykłą Alice, której od rana wszyscy wypatrywali. Na pewno nie był to nikt, kogo mógł znać, co tylko podsycało jego ciekawość. W oknie ukazał się ojciec, również wystrojony; wychylił się i wyjrzał na drogę.

– Miał być wcześniej, ale pewnie przyjdą razem – rzucił do córki i żony.

Słowa starego zlewały się w monotonny bełkot i tylko nadludzkim wysiłkiem udawało mu się jako tako je rozdzielić. Udar musiał być poważny. Joego ogarnęła fala wyrzutów sumienia. Nie wiedział o tym, naprawdę nie wiedział. A gdyby nawet... czy cokolwiek by to zmieniło?

– Och, tak, na pewno mu coś wypadło – potwierdziła skwapliwie matka.

– Czego się spodziewaliście? Że choć raz dotrzyma słowa? Przecież wiecie, jaki jest. – Judy wzruszyła ramionami i wbiegła po schodach, by chwilę później pojawić się w oknie pokoju na piętrze.

Więc jest jeszcze jakiś on – pomyślał, obserwując jak siostra szczotkuje włosy.

Coraz mocniej go wciągała ta podglądana zza śmietnika historia. Czuł się niczym w kinie. Czy może raczej – jak w teatrze. *Świetnie zbudowana scena. Znakomicie* – zrecenzował odruchowo. *No, darwaj! Bo napięcie siądzie* – pogonił w myślach tajemniczą Alice i jej towarzysza. Po latach pracy na planie doskonale wiedział, jak ważne są proporcje. Widz musi poczekać, ale tak w sam raz, nie za długo. Inaczej straci zainteresowanie. Kiedyś sam nawet myślał o reżyserii, chyba bardziej by go kręciła. Jednak póki świat chciał oglądać Joego Pilgrima, Joaquin Romero nie miał dużo do gadania. Przypominał eksportowy produkt wielkiej fabryki. Zbyt wiele osób żyło z jego smutnego, błękitnego spojrzenia, żeby pozwolić na takie fanaberie.

Wreszcie na końcu ulicy pojawiła się taksówka. *Oto i są! Brawo! W samą porę.* Auto, nie wiedzieć czemu, zaparkowało kilka posesji dalej; Joe ujrzał dwie sylwetki, kobieta i mężczyzna ruszyli w kierunku domu rodziców. Gdyby miał reżyserować ten spektakl, skróciłby ich drogę. Szli i szli, i szli... Zupełnie niepotrzebna dłużyzna. Do tego z zachodzącym słońcem za plecami.

– Trochę szmira – mruknął pod nosem. *Chociaż...* – nagle zmienił zdanie – *to akurat może być niezłym zabiegiem. Ciągle nie widzimy twarzy bohaterów.*

– Kochanie! Doczekać się nie mogliśmy! – usłyszał. – A to pewnie Alice?

Zmrużył oczy i spróbował w czerwonych promieniach dostrzec szczegóły powitania. Wciąż jednak widział tylko zarysy postaci. Nie miał pojęcia, kim jest facet, do którego tak czule zwracała się jego matka.

– Bill! Bill! Już są! – Lucy Romero, z domu Kowalski, wyraźnie rozsadzały emocje, co było do niej zupełnie niepodobne.

– Witam, witam! – Na ganku pojawiła się zgarbiona sylwetka ojca.

Brakowało tylko Judy. Joe zerknął w okno, które szczęśliwie znalazło się już w cieniu. Siostra stała przy szybie, ze splecionymi na piersi ramionami przyglądała się scenie na dole. W końcu pokręciła głową z dezaprobatą i odeszła w głąb pokoju. Stracił ją z oczu.

Przeniósł wzrok na ganek, na którym cała czwórka nadal tonęła w powitaniach. Słońce nieco skryło się za domem i wreszcie mógł zobaczyć ich twarze. Tajemnicza Alice wyglądała na zupełnie zwyczajną

dziewczynę. Trochę go to rozczarowało. Chyba wyobrażał sobie jakąś *famme fatale*. A może anioła ze złotymi włosami? W każdym razie, w jego filmie tę rolę dostałaby aktorka o bardziej oryginalnej urodzie. Facet od Alice stał odwrócony do niego plecami, Joe mógł ocenić jedynie jego budowę. Czarna, perfekcyjnie przystrzyżona fryzura pasowała do amanta, ale jak na latynoskiego supersamca był zdecydowanie za chudy. *A więc to nie historia macho i szarej myszki z sąsiedztwa* – uśmiechnął się, snując w głowie kolejne scenariusze. I dobrze, nigdy nie lubił oczywistych rozwiązań. Przecież sam też nie zrobił kariery dzięki mięśniom i kwadratowej szczęce. Niezdrowa romantyczna melancholia – oto co kochały w nim kobiety. Nie dostałby roli Bonda, za to idealnie nadawał się do tych sentymentalnych bzdetów, w jakich grywał. Aż do teraz. Starzał się, nie mógł dalej jechać na wizerunku smutnego, pięknego chłopca. Łysy zbir z brodą był więc kolejnym etapem – nowym i lepszym. Joe chciał w to wierzyć, ale wiedział, że Rat Vic tak naprawdę stanowi tylko rozpaczliwą odpowiedź na cholerny upływ czasu. I na ciszę w słuchawce, która zdarzała się coraz częściej. Szczerze za to Rata Vica nienawidził. Joe Pilgrim miał dopiero trzydzieści siedem lat i już odchodził do lamusa. Hollywood nie wybaczało zmarszczek. Niczego nie wybaczało. Och, oczywiście, nadal będzie miał robotę, jeszcze długo, jednak boski chłopiec o błękitnym spojrzeniu umarł. Jakieś dwa filmy temu. Wtedy udało mu się oszukać – fanów, reżysera, wszystkich. Niestety w tym wypadku „do trzech razy sztuka” się nie sprawdzi. Chcąc nie chcąc, musiał coś zmienić. Więc zmienił siebie, okłamując się przy okazji, że od teraz zacznie się prawdziwa aktorska sztuka. Że jako dojrzały artysta dopiero pokaże światu, co potrafi! Gównu. Gównu. Gównu. Znał zasady. A one mówiły, że jego nadzieje to wielkie gówno. Czy dlatego wrócił? Czy właśnie dlatego znów uciekł?

Odłożył trudne myśli na później i skupił się na planie filmowym, w który przekształcił się ganek. *Co jest, do cholery?! O co tu...* Zmrużył oczy, wystrzył wzrok. Nie, nie mylił się – obok źle ubranej, byle jakiej Alice stał... Joe. Taki sam jak półtora roku temu, zanim zaczął zmieniać swoje ciało do nowej roli.

Odetchnął głęboko, przetarł oczy i raz jeszcze przyjrzał się szczupłemu mężczyźnie. Nie było wątpliwości – patrzył właśnie na swojego sobowtóra. A właściwie na wierną kopię Joego Pilgrima, jakiego kochał cały świat. Co to ma znaczyć?! Co to, do kurwy nędzy, ma znaczyć?! Kim jest ten facet, który tak bezczelnie wszedł w jego życie? W jego życie... Zawahał się. Czy aby na pewno? Czy nie jest tak, że akurat to życie od dawna już nie należało do niego? Że sam z niego zrezygnował? *Co to zmienia!* – przywołał się do porządku. Nawet jeśli na własne życzenie w Red Sands zostawił po sobie pustkę, nikt nie miał prawa jej zapełniać. Pustka powinna na niego czekać. Czekać na taki moment jak dziś, kiedy znów zdecyduje się być Joaquinem Marią Romero.

– Kochanie, wpadniesz jutro na obiad? – zapytała matka.

– Jasne – odparł fałszywy Joe i pocałował ją w policzek. Prawdziwy Joaquin nigdy tego nie robił.

Znów poczuł smutek. Był też wkurzony. I to bardzo. Począł aż wszyscy znikną w domu i puścił się pędem w dół ulicy. Biegł coraz szybciej, serce tłukło się jak oszalały ptak w klatce, w płucach zaczynało brakować powietrza. Jednak się nie zatrzymywał. Tak jakby bieg mógł z powrotem poukładać rozsypaną na kawałki absurdalną rzeczywistość. Zdezorientowany, wykończony, wściekły dotarł do motelu. Padł na żółtawą, mizerną trawę przy basenie, zacisnął mocno powieki i starał się odzyskać oddech. *Jezu... co za popieprzona historia. Jak z filmu. Film mnie ściga, dopadnie mnie wszędzie.* Ostatnia myśl tak go rozbawiła, że aż głośno parsknął – raz, drugi, aż wreszcie zaczął się tarzać w trawie, targany wybuchami histerycznego śmiechu. Mijały minuty, złapała go kolka, ale nie potrafił przestać. Już wiedział, kim jest jego sobowtór. To mógł być tylko on. Mike Greenwood. Oczywiście! Któżby inny! Nawet najbliżsi przyjaciele nie potrafili ich odróżnić. Naturalnie, tylko wtedy, kiedy Mikey wchodził w rolę, bo na co dzień aż tak bardzo go nie przypominał. Brakowało mu tej lekkości, nonszalancji, szlachetności w gestach, za którą wszyscy kochali Joego Pilgrima. Być może dlatego, choć z Mike'a był niezły aktor, nigdy nie zrobił kariery. Za to w swoim fachu był wybitny, tylko mało kto o tym wiedział. Nazwisko Greenwooda nie pojawiało się w czołówce, nawet

nie na początku napisów końcowych. Był sprytnie ukryty, gdzieś tam pod koniec. Cóż, taka praca.

Gdy Joe uświadomił sobie, z czym ma do czynienia, opuściły go złe emocje, pozostało tylko rozbawienie. Jaki kretyn! Liczył, że prawdę mu się uda? Fakt, Mike wiedział o nim wszystko: skąd pochodzi, jak ma na imię jego siostra, kogo lubił w dzieciństwie, z kim się Joaquin nie kumplował. Znał nazwiska jego dziewczyn, a nawet ich rozmiar stanika. Spędzili ze sobą mnóstwo godzin, przygotowując się do wspólnej roli. Dryfując w białej pustce, Joe wziął go za przyjaciela. Kiedy Mikey zniknął nagle, bez uprzedzenia, poczuł się oszukany jak porzucona przed ołtarzem narzeczoną. Przypomniawszy sobie własne głębokie rozczarowanie. Joe Pilgrim nie powinien nikomu ufać i dobrze o tym wiedział. Takim jak on nie wolno żyć wśród ludzi. Nie raz, nie dwa widział na plotkarskich portalach dowody zdrady najbliższych, bezwzględnie kompromitujące kolejne bożyszcze tłumów. Potem: łzy, zwichnięte kariery, opuchnięte od prochów twarze i najgorsze, najbardziej żenujące – skamlące o litość spojrzenia, kiedy ważny świat mijał te upadłe gwiazdy niczym zasmrodzone powietrze, nawet nie próbując ukryć obrzydzenia. Wreszcie – samobójstwa. W fetorze rzygowin, wódy i własnego moczu, nie tak romantyczne jak w filmach. Na koniec parę smutnych liter pod czarno-białą fotografią. Niegdyś tak słodkie życie podsumowane krótkim nekrologiem oraz zdawkową wzmianką o „tragicznym wypadku byłej gwiazdy” – na ostatnich stronach podłej jakości tabloidów. Mało kto potrafił z godnością przyjąć utratę miłości fanów. Sława, fortuna, władza – nic bardziej nie uzależnia. A pieniądze nie śmierdzą, każdego da się kupić. Zdradzały żony i dzieci, zdradzali rodzice, przyjaciele, pracownicy, szefowie i zupełnie przypadkowi ludzie. Tam, w LA, wszyscy czyhali na własne pięć minut. Jednak Joe miał swój rozum, bardzo się pilnował. Nigdy, przenigdy nie wychodził z roli. Ostatnio – także, kiedy był sam na sam ze sobą. W hollywoodzkiej bajce cholernie łatwo było spaść z konia, a im wyższy, tym bardziej bolało. Joaquin nie zdejmował więc maski Pilgrima, nikomu się nie zwierzał, nikomu nie ufał – ani na trzeźwo, ani na haju. Nawet najmilszym kochankom po najbardziej odjechanym seksie. Na-

wet wtedy, kiedy wydawało mu się, że jest na serio zakochany. Mike Greenwood stanowił wyjątek. Który tylko potwierdził regułę. Joaquin do dziś miał w pamięci nieprzespane, pełne koszmarnych wizji noce. Pamiętał też poranki, kiedy drżącymi dłońmi odpalał internet. I tę ulgę, że znów nic. Jednak nic. Nadal wszyscy go kochają.

Musiał minąć dobry rok, zanim Joe zdołał uwierzyć, że Mikey, choć nie był jego przyjacielem, nie był też wrogiem. Żadna z wyjawionych podczas pijackich rozmów tajemnic nie ujrzała dziennego światła. Teraz już wiedział, dlaczego.

– Głupi kutas! – ulżył sobie i dopiero spostrzegł wylegającą się przy basenie kobietę.

Przyglądała mu się bez najmniejszego skrępowania.

– Śmieszny dzień? – zagałała. – Czy wprost przeciwnie, aż taki ciężki?

– Jedno i drugie. – Otarł spływającą po policzku łzę. – Jedno i drugie.

– Zdarza się. Jestem Gina. Właściwie to Genevieve, ale kto by to spamiętał. Poza tym się ukrywam. Więc, jak by kto pytał, to żadnej Genevieve nie znasz, okej? – Mrugnęła do niego znad trzymanej w rękach książki.

Nie była brzydka ani też szczególnie ładna. Typowa amerykańska dziewczyna z tlenionymi, natapirowanymi włosami i zbyt białym uśmiechem.

– Jasne – odparł. I od razu pomyślał, czy warto ją wziąć do łóżka. Choć bardzo się starał dopasować do Red Sands, Joe Pilgrim nadal z niego wyłaził. Nie ma co się oszukiwać.

– A ty? – zapytała.

– Joaquin.

– Piękne imię. – Miała chropawy głos, co bardzo mu się spodobało.

Pewnie przez fajki – zgadł. Jakby w odpowiedzi wyciągnęła papierosa.

– Chcesz?

– Dzięki, nie palę.

Wkażdy razie tytoniu – dodał w myślach. Bo poza fajkami chyba nie było niczego, czego by nie spróbował. Ale akurat do papierosów nigdy go nie ciągnęło. Znał lepsze rzeczy.

– Więc, Joaquinie... co cię przygnało na to zapomniane przez Boga zadupie? – Przekrzywiła głowę i wpatrywała się w niego z zaciekawieniem.

– Też się ukrywam. W pewnym sensie. – Wzruszył ramionami.

– No to dobrana z nas parka. – Posłała mu szelmowski uśmieszek.
– W życiu bym nie pomyślała, że wyląduję w takiej dziurze. – Wstchnęła i ostentacyjnie wrzuciła niedopalonego papierosa do basenu, uważnie śledząc reakcję Joaquina.

Nie odpowiedział, nie zwrócił jej też uwagi. W końcu baseny pełne petów to w jego życiu nic nowego.

– Kogoś mi przypominasz... – Zmarszczyła czoło.

– Często mi to mówią.

– Już wiem! Joe Pilgrim. – Drgnął na dźwięk tego nazwiska. – Gdybyś schudł parę kilo, ogolił brodę i zapuścił włosy... nawet byłbyś do niego podobny.

– Może...

– Ale nie rób tego, błagam! Ten koleś to straszliwa ciota. Kompletnie nie w moim typie.

– Serio? – Sam nie wiedział, czy bardziej go to ubodło, czy rozśmieszyło.

– Serio. Pizda taka, w sam raz dla nastolatek. Ja tam wolę prawdziwych facetów – wymruczała.

Wyglądało to na całkiem udany początek interesującej nocy.

– Długo tu jesteś? – Zmienił temat.

– Od trzech dni. A i to zbyt długo. Cerę mam już jak stara Meksykanka. Przekłête słońce... Nie wiem, jak ludzie tu sobie z tym radzą. I w ogóle, co ich tu trzyma – dodała po chwili.

On też nie wiedział. Dlatego stąd uciekł. Ale zawsze się w końcu wraca. Zawsze.

– Można się tu gdzieś zabawić?

– Tutaj? – Parsknęła śmiechem. – Chyba strzelając do pustynnych szczurów. Jest tu jedna tancbuda, miłą stąd, przy drodze. Ale nie polecam. Syf, kiła i mogiła. No chyba że lubisz cyncate, spocone wieśniaczki. Parę takich tam znajdziesz.

Czwartkowe dzieci
Copyright © Agnieszka Sodomir
Copyright © Wydawnictwo Literate
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Agnieszka Zawadka
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2021 r.

książka ISBN 978-83-7995-372-1

ebook ISBN 978-83-7995-373-8

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Agata Polte
Korekta: Barbara Mikulska
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Agnieszka Zawadka
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@literate.pl
www.literate.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



FAZA REM
MIASTO OBIECANE, TOM I
AGNIESZKA SUDOMIR

Łódź, niegdyś Ziemia Obiecana, dzisiaj miasto pogrążone w nostalgii.

W bloku na Bałutach zamordowano studentkę. Na Julianowie przed swoim domem ginie bogaty lekarz. Morderca pozostawia na miejscach zbrodni fragmenty recept. Kiedy zostaje odnaleziona trzecia ofiara, media podejmują temat „Aptekarza” i w mieście wybucha panika.

Komisarz Igor Blattner musi rozwikłać zagadkę pierwszego od wielu lat seryjnego mordercy w Łodzi. Atakowany przez media, naciskany przez przełożonych, borykający się z problemami w życiu osobistym i kryzysem wieku średniego policjant staje przed największym wyzwaniem w swojej dotychczasowej karierze.

Blattner kieruje się w pracy jedną prostą zasadą. Występek nie zasługuje na wybaczenie, a wyłącznie na sprawiedliwą karę. Czy jednak to credo pomoże czy utrudni mu złapanie mordercy?

Znakomicie nakreślone miasto jako tło i Igor Blattner – komisarz z krwi i kości, który musi się zmierzyć nie tylko z Aptekarzem, ale i własnymi demonami. Książka wciąga od pierwszej strony i nie pozwala usnąć aż do ostatniej.

Michał Chmielewski, autor *Złe i Indygo*



PANACEUM
MIASTO OBIECANE, TOM II
AGNIESZKA SUDOMIR

Z nieba leje się żar, Łódź dusi się w kurzu, a komisarz Blattner walczy z własnymi demonami. W takich warunkach przychodzi mu prowadzić kolejne trudne śledztwo.

W jednym z apartamentowców policja odkrywa ciało pięknej młodej kobiety – uzdolnionej lekarki, której życie przypominało bajkę. W trakcie dochodzenia Blattner musi przyjrzeć się środowisku neurochirurgów. Świątek wybitnych specjalistów okazuje się jednak bardziej hermetyczny, niż komisarz się spodziewał. Czy to specyfika zawodu, czy też pracownicy szpitala coś ukrywają?

Pojawiają się kolejne ofiary, a ślady zdają się prowadzić do znanego neurochirurga, niepodważalnego autorytetu w swojej dziedzinie. Nic tu jednak nie jest proste ani oczywiste. Rozwiązanie sprawy zaskakuje nie tylko śledczych, ale także środowisko medyków.

Wstrząsające lekarskim środowiskiem morderstwa, mylne tropy i niepozbowieni ludzkich słabości policjanci to świetne panaceum na wszelkie kłopoty.

Przy tej książce zapomina się o całym świecie.

Hanna Greń, autorka serii *Śmiertelne wyliczanki*

Inteligentny, czasem dowcipny i zaskakujący... Właśnie taki powinien być kryminał, a Agnieszka Sudomir udowodniła, że doskonale o tym wie.

„Panaceum” to książka, którą jak zaczniesz, to musisz skończyć.

Innej opcji nie ma! Polecam.

Małgorzata Falkowska



EFEKT POMINIĘCIA
MIASTO OBIECANE, TOM III
AGNIESZKA SDOMIR

Ponure jesienne popołudnie. Na policję zgłasza się niepozorny człowiek – twierdzi, że widział ukryte w lesie zwłoki. Fakty, jakie wychodzą na jaw podczas rutynowej rozmowy, każą śledczym wątpić w zdrowe zmysły mężczyzny.

Nikt nie przeczuwa, że to początek skomplikowanej, przerażającej sprawy. Nikt... oprócz Zojki, która dostrzega tu swoją szansę.

Komisarz Blattner będzie musiał opuścić znajome ulice Łodzi, by zmierzyć się z duszną atmosferą małego miasteczka. Lokalna społeczność nie wita obcych z otwartymi ramionami, a budowany latami mur milczenia wydaje się niemożliwy do przebicia. Pod powierzchnią spokojnej codzienności kryją się stare grzechy i niezabliźnione rany.

Tutaj każdy ma własną prawdę. Tu zaciera się granica między dobrem i złem.

Czy warto grzebać w przeszłości? Czy mroczne tajemnice zostaną odkryte, a winni ukarani?

Tym razem komisarz Igor Blattner musi się zmierzyć nie tylko ze skomplikowanym śledztwem. Trudniejszy jest wybór pomiędzy obowiązkiem a własnym sumieniem. „Efekt pominięcia” to książka, która na długo zapadnie mi w pamięć. Polecam serdecznie.

Hanna Greń, autorka
serii Śmiertelne wyliczanki oraz Dioniza Remańska



OSTATNIA SPRAWA AGNIESZKA CHODKOWSKA-GYURICS

Bliźniaczka Joanny, Helena, zostaje zamordowana w tajemniczych okolicznościach. Sprawą zabójstwa zajmuje się stary wyga, komisarz Pucki. Nie budzi on jednak w Joannie zaufania i choć nie była z siostrą blisko, kobieta postanawia przeprowadzić prywatne śledztwo. Z czasem jednak oba dochodzenia łączą się i aby rozwiązać zagadkę, tych dwoje musi zacząć ze sobą współpracować.

Okazuje się, że Helena tylko z pozoru wiodła zwyczajne życie. Zamieszana była w wiele szemranych interesów. Joanna zaczyna wątpić w sens poznawania sekretów siostry, a Pucki musi się poważnie zastanowić, czy prawo i sprawiedliwość zawsze idą ze sobą w parze.



ISKIERKA
PATRYCJA ŻUREK

Trudne wybory zmieniają całe życie –
i to na zawsze.

Przed takim wyborem los postawił
Różę i Seweryna. Oczekiwanie dziec-
ka z nieuleczalną wadą rozwojową,
wystawia na próbę nawet najbardziej
trwałe związki. Muszą jednak podjąć
decyzję – najcięższą w ich życiu.

“Iskierka” to pełna ciepła opowieść
o walce, trudnych uczuciach i kruchym
życiu, ale przede wszystkim o sile rodzicielskiej miłości.



CIEŃ TEMPLARIUSZY PIOTR ŻYMEŁKA

641, Aleksandria. Wojska arabskie zdobywają miasto. Kalif rozkazuje spalić słynną bibliotekę. Jeden z opiekunów ucieka wywołując ze sobą najcenniejsze manuskrypty.

1307, Paryż. Filip IV Piękny skuszony bogactwem Templariuszy postanawia przejąć ich majątek. Jakub de Molay, Wielki Mistrz Templariuszy, w ostatniej chwili niweczy misterną intrygę

króla i ukrywa zakonne skarby w sekretnym miejscu.

Czasy współczesne, Berlin. Bramą Brandenburską wstrząsa potężna eksplozja ukrytej w ciężarówce bomby. Kilkanaście osób ginie, a kilkadziesiąt zostaje rannych. Media zgodnie przypisują tragedię działaniom terrorystów.

Polska, okolice Torunia. Młoda francuska dziennikarka zostaje napađnięta przez tajemniczych mężczyzn. Z opresji ratuje ją Jan Flis, awanturnik i poszukiwacz przygód.

Czy spróbujesz rozwiązać sięgającą średniowiecza zagadkę?
Uważaj jednak na to, co może czaić się w cieniu... Templariuszy.



PAN WHICHER NA PROWINCJI
AGNIESZKA CHODKOWSKA-GYURICS
& TOMASZ BOCHIŃSKI

Warszawa tuż przed powstaniem styczniowym. Misja powierzona słynnemu inspektorowi Scotland Yardu przez Czarza Wszechrusi dobiegła końca. Zagadka zniknięcia rosyjskiej arystokratki i tajemniczych, brutalnych morderstw została rozwikłana, choć nie obyło się bez komplikacji politycznych i walki na umysły i rewolwery w mrocznych zaułkach miasta. Perypetie „księcia detektywów” i warszawskiego policjanta

Mikołaja Czernyszewskiego zawarte w powieści „Pan Whicher w Warszawie” kończą się późną jesienią 1862 roku.

W grudniu tegoż roku Jonathan Whicher na nieoficjalną prośbę warszawskiego wydziału kryminalnego prowadzi jeszcze jedno śledztwo, nie wiedząc, że będzie ono miało poważny wpływ na jego życie. Tak zaczyna się nowa opowieść: „Pan Whicher na prowincji”. Minęło parę lat, inspektor porzucił karierę w Scotland Yardzie, by w domowych pieleszach, u boku małżonki cieszyć się rozkoszami wieku dojrzałego. Jednak pewnego dnia do londyńskiego mieszkania byłego detektywa wkracza Mikołaj Czernyszewski – poznany onegdaj w Polsce policjant, którego intrygi polityczne wygnały za granicę. Zamieszany w sprawę tajemniczego morderstwa, pozbawiany na obczyźnie przyjaciół, zdesperowany zwraca się o pomoc do starego wygi. Pan Whicher nie ma wyjścia. Wyrusza na angielską prowincję by rozwikłać tajemnicę kolejnej zbrodni.

„Pan Whicher na prowincji” to zamknięta, niezależna historia – znajomość pierwszego tomu nie jest konieczna, ale z pewnością nie zaszkodzi!



DOM WSZYSTKICH SNÓW WOJCIECH GUNIA

Rodzimy się w nim i w nim zamykamy oczy. W jego długich, wąskich korytarzach i pustych pokojach rozgrywa się to, czego doświadczamy między jedną a drugą nicością. W nim prowadzimy walkę i w nim zostajemy pokonani. Stawiamy pytania lub poszukujemy odpowiedzi. Kto go wzniósł? Kto nas do niego sprowadził?

Jest ogromny, być może większy niż świat, a my, z góry skazani na błędzenie, nigdy nie poznamy jego planów.

Trzynaście historii, jedna opowieść.
„Dom wszystkich snów”
książka - labirynt, książka - zagadka.

W czasach horrorów powstających generycznie, odciskanych od banalnej, mocno już wytartej sztancy, gdzie coraz bardziej makabryczne zło staje się głównym bohaterem, na wagę złota jest każdy autor, który ze zrozumieniem sięga do źródeł strachu. Wojtek to autor, który wie czego w grozie szuka, wie, co go interesuje i bezkompromisowo wchodzi w tę materię coraz głębiej. Poznaje podstawy naszych atawistycznych lęków, ale i upatruje tych nowych. W jego światy wchodzi nieodmiennie z niepokojem, ale i zachwytem. Polecam!

Jakub Ćwiek, autor powieści *Szwindel*, *Topiel* i wielu, wielu innych